

**Paweł Fleszar**

# **Wyśniona jedenastka**

**Rozdział czwarty**  
**maj 2016**

## I.

Pociąg szarpnął i ruszył. Za oknem przesunął się dziewiętnastowieczny budynek dworca w Bochni, taki sam, jak kilka innych na trasie z Łańcuta do Krakowa i równie jak one uroczy. Już niedaleko. Poprawiła słuchawki na głowie.

*Leje się krew, tequila i ropa naftowa w pełnym słońcu*

*Tak blisko Stanów, ale daleko od Boga*

*Tak blisko raj, ale daleko od Boga*

*Czeka kolejna przygoda, która wzywa*

*To wesółka ekipa - Arriba! Que viva Mexico!*

Latynoski klimat kawałka od razu skojarzył się jej z kwietniowymi przeżyciami.

Pojechała do domu następnego dnia po tej gonitwie samochodowej. Maciek ją namówił. W hotelu, po krótkiej naradzie, wzięli duży pokój małżeński, on szybko zrobił sobie posłanie na podłodze. Przypomniała sobie blade widziany dawno film ze Stallone. Oni też przed kimś uciekali i też spali osobno, chyba byli pokłóceni. Jej towarzysz nie przypominał w niczym Sylwka, może to i dobrze, za to tamta aktorka była ruda i miała piegi.

Długo rozmawiali, powoli schodziła z nich adrenalina. Agnieszka uważała, iż należy zawiadomić policję, jednak Maciej perswadował, że przecież oni też złamali prawo, pierwsi wjechali na bulwary. Jeśli gliniarze już o tym wiedzą, to pewnie robi się z tego afera. A jeśli tamci uznają, że pościg to ich wymysł, aby uniknąć kary za rajd? Po drugie, lepiej się nie wychylać, kiedy obok może czyhać zagrożenie. Policja nie będzie ich chronić, jeśli sami będą podejrzani. No i jeszcze ta sprawa sprzed dwunastu lat... Widać było, że tamto wspomnienie strasznie go stresuje.

- To taki remake tamtej historii. Nie chcę ci za dużo opowiadać, żeby cię w to nie wplątywać.

- Nie rozumiem.

- Sam nigdy wszystkiego się nie dowiedziałem, trochę przypadkiem wziąłem udział w tych wydarzeniach i cały czas byłem jakby na zewnątrz. Zaczęło się od tego, że na spacerze znaleźliśmy ze znajomą topielca na brzegu Wisły. Bardzo blisko bloku, w którym mieszkasz.

- Nigdy o tym nie słyszałam - mówiąc to uświadomiła sobie jeszcze coś. Że praktycznie nic nie wie o prywatnej sytuacji Maćka. Dziewczynie, narzeczonej, żonie. Obecnej, byłej? Chyba nikogo nie ma, skoro siedzi z nią tutaj, a nigdzie nie dzwonił. Zdziwiła się, że zaczyna ją to interesować.

- To było dwanaście lat temu. Poza tym sprawa nie została zbyt nagłośniona, bo policja nie potrafiła ustalić, kim był ten człowiek. W skrócie: w Krakowie pojawili się rywalizujący ze sobą przestępcy. Parę razy na nich wpadłem. W sierpniu wszystko ucichło. Nie pytaj, proszę, o szczegóły. Nie ma w tym nic obciążającego mnie, nie zrobiłem nic naganego, ale wiem o tamtych ludziach rzeczy, których nie powinienem. Lepiej nie obarczać cię tym.

Tajemnicze to wszystko, ale ona nigdy nie była ciekawska. A teraz czuła się tak, że najchętniej posiedziałyby z głową schowaną w piasek, nie wiedząc, co dzieje się wokół.

I coś takiego właśnie zrobiła. Następnego dnia taksówką, żeby nie wyciągać samochodu, którym już nie tylko wczorajsi napastnicy mogli się interesować, wybrali się do niej na Dąbie. Spakowała się i pojechała do domu. Nic jej tu nie trzymało, na studiach nie miała żadnych ważnych zajęć, Nosacza poprosiła o zwolnienie dla załatwienia straconych dokumentów (w rzeczywistości w Krakowie można było zgłosić kradzież dowodu i złożyć wniosek o wyrobienie nowego). Poburczał trochę, ale i tak musiał dać im wolne na długi weekend majowy.

Na kilku portalach internetowych ukazały się artykuły o "Szalonym rajdzie samochodowym po

nadwiślańskich bulwarach", jednak nie zawierały zbyt wielu danych. Policja dostała zgłoszenie po fakcie, nie miała numerów rejestracyjnych, tylko pobieżny opis: czerwony (lub wiśniowy) fiat i wielki, czarny pickup. Strona lajkidlakraka.pl dotarła do jakiejś pary, siedzącej wtedy na ławeczce nad rzeką, ale oni bez żenady przyznali, że byli pijani. Mogła stwierdzić to i bez tego, bo opowiadali, że przez otwarte okna aut słyszeli głośną muzykę i krzyki imprezujących ludzi. Maciek kilka razy pisał do niej na fejsie, raz zadzwonił i relacjonował, co ustalili jego zaprzyjaźnieni dziennikarze z Warszawy. Poprosił ich o poszukanie samochodu, bo zobaczył fragment jego tablicy, zaczynający się od liter WI i cyfr 26. To prawdopodobnie nissan navara - zdjęcie w sieci bardzo przypominało kształty potwora, który ich gonił - być może leasingowany. Po kilku dniach go znaleźli, okazało się, że pochodzi z wypożyczalni na Okęciu i został wynajęty przez Kolumbijczyka, Fernando Rojas. Ten znajomy Maćka miał tam dobre kontakty, najpierw dotarł do pracownika wypożyczalni, który opowiedział mu, że z Rojasem było jeszcze dwóch mężczyzn o południowoamerykańskim wyglądem. Potem sprawdził, że Rojas tego samego dnia, kiedy oddał samochód, w czwartek po święcie, odleciał do Rio de Janeiro. Bilety z kolejnymi numerami mieli Brazylijczyk i Portorykańczyk.

*Złowróźnie to brzmi - pisał Maciej na FB. Przesłał też małe zdjęcie tego Rojas, z zeskanowanego w wypożyczalni paszportu. Typowy Latynos, w średnim wieku, z wąsami. Mój kuzyn mieszka w Stanach i twierdzi, że czarne gangi są już passe, podobnie rosyjskie, a rządzą właśnie Portorykańczycy. "Gdy wymawiam słowo Portoryko, zawsze oglądam się za siebie" - śmiał się nawet. I opowiadał dowcip:*

*- Gdy samochodem jadą Portorykańczyk, Murzyn i Rosjanin, to kto prowadzi?*

*- Policjant?;)*

*Tamta sprawa, o której ci opowiadałem, miała właśnie związek z Rio. Ale może akurat się zakończyła i dlatego tam polecieci? Poprosiłem tego Władka z "Głosu stolicy", żeby zaprotegował mnie swojemu człowiekowi na lotnisku. Da mi znać, gdyby którekolwiek z tych trzech nazwisk pojawiło się na listach pasażerów lądujących u nich. Zrobiło się trochę bezpieczniej. Możesz wracać;)*

I tak miała zostać jeszcze na weekend. Jej brat, który mimo nastu lat był ciągle "zwariowanym Karolkiem", w rozczulający sposób manifestował przywiązanie i wynajdywał coraz to nowe sposoby wspólnego spędzania czasu. Spontanicznie zaprosiła do nich Maćka. Odpowiedział jednak, że wprawdzie chętnie by przyjechał, bo nigdy w Łańcucie nie był (nawet gdy zorganizowano tam wycieczkę szkolną akurat się rozchorował), lecz ma mnóstwo pracy. Wprawdzie nie musi jej wykonywać w redakcji, ale u nich musiałyby ciągle siedzieć przed laptopem. Przyjedzie za to po nią na dworzec główny.

*Uważaj na siebie! - pożegnała go. Zdawała sobie sprawę, że takie teksty są raczej sposobem uspokojenia dla mówiącego, niż realną przestrogą.*

*Z piskiem kół hamowali na stacji w Prokocimiu. Poczęstowała się "Quebonafide" jeszcze raz:*

*Bądź czujny jak nigdy, gorące spojrzenia, wśród zimnych uliczek*

*I tyle samo tu piękna, co krzywdy*

*Mimo, że co drugi ma naszyjnik z krzyżykiem*

*To prawdziwe życie, nie telenowe*

*Policja, kartele i oba te cele to jeden interes*

*Ze wspólnym portfelem*

*Jedziesz przy granicy to chowaj kamerę, Gringo*

## II.

Ta winda zawsze była taka wolna! Można było zestarzeć się już czekając na nią na parterze, a po każdym zatrzymaniu dłużyło się zamykanie drzwi. Aga mruczała pod nosem poirytowana, wysiadając na szóstym piętrze budynku Akademii Muzycznej. Umówiła się tu po zajęciach z Beatą, swoją współlokatorką. Maciek miał wyraźną ochotę pójść z nimi, ale zasugerowała mu, że to spotkanie dla omówienia typowo babskich sekretów. Dobry humor wrócił, gdy okazało się, że wolne są trzy z czterech stolików stojących w pomieszczeniu dla niepalących z najlepszym widokiem. Na taras było dzisiaj zbyt chłodno i mokro. Istniały wprawdzie w Krakowie miejsca oferujące gotowe pocztówki - "Akwarium", z panoramą zakola Wisły i Wawelu, czy "Oko", skąd patrzyłaś na fragment Rynku i Sukiennic oraz cały Kościół Mariacki - ale ten obrazek był taki paryski. Dachy Krakowa. No i można tu było zjeść dwa dania z kompotem w cenie kawy z tamtych lokali.

Zajęła stolik, z zamówieniem poczeka na koleżankę, bo jedzenie w uczelnianej stołówce podawali ciepłe, trzeba było od razu się za nie zabierać. Po sąsiedzku siadali jacyś dwaj faceci.

Zakwalifikowała ich jako niegroźnych, nawet tego zwalistego, z siwiejącymi wąsami, o tubalnym głosie. Bacia coś się nie pojawiała. Cała ona. Agnieszka uwielbiała ją za pozytywną naturę, otwartość, uważała za drugą najlepszą przyjaciółkę po Bożce, więc nauczyła się nie denerwować. Co zresztą nie miałoby sensu, bo Beata kompletnie nie przyjmowała do siebie faktu, że ktoś się na nią złości, czy jej "ciśnie". Uśmiechała się.

Oho, dzwoni.

- Cześć Agu, pamiętam, że byłyśmy umówione, nie wystawiłam cię. Miałam tu mały wypadek samochodowy i chyba nie dojadę.

- Beti, no co ty! Jaki wypadek? Gdzie to jest? Przyjadę tam, może trzeba ci pomóc?

- Nie, spokojnie, nie martw się, to nic groźnego. Poczekaj... Przejdę kawałek... No, już mogę rozmawiać dosyć swobodnie - głos miała konspiracyjnie przyciszony. - To mała stłuczka. Wiesz, stałam w kolejce na tym pochyłym wjeździe na parking przy dworcu i zobaczyłam w lusterku, że zaraz za mną jest bardzo przystojny facet. To puściłam hamulec i cofnęłam w jego samochód.

- Co!!! - Agnieszka nie zwracała uwagi na reakcje ludzi siedzących na stołówce. Takiego numeru jeszcze nie wycięła.

- Żebyś go widziała! Podobny do Ryana Goslinga. Podpisaliśmy szybko porozumienie, nawet nie wzywaliśmy policji. Dzięki temu dostałam jego adres i numer telefonu! Mamy skomunikować się odnośnie pokrycia kosztów naprawy. Teraz z jakimś innym kierowcą, który się przypalał, oglądają mój zderzak, bo coś się odczepiło i prawie cały leży na ziemi, trzyma się tylko na jednej śrubie. Jak wszystko dobrze pójdzie, to jeszcze dzisiaj zasugeruję kawę w Galerii. Puszczę ci eskę, będziesz mogła przyjść go sobie obejrzeć. Tylko dyskretnie, błagam.

- Dzięki, Beti, chyba poczekam, aż wasza znajomość dojrzeje - ani przez moment nie pomyślała, że kumpela ją wkręca. - Oczywiście, życzę ci powodzenia w realizacji planu.

- To pa!

Kochana, swojska wariatka... Przypomniała sobie, gdy samochodem, który nie miał teraz zderzaka, w ubiegłym roku jechały do centrum. Beata na AGH, ona bodaj na zakupy. Aleje, korek jak zwykle, czas upływał, zajęcia miały się zacząć za niespełna 10 minut. I nagle Bacia mówi:

- Aga, ja polecę na piechotę, może zdążę. Muszę być na tych ćwiczeniach, bo mam już dwie nieobecności.

- Oszalałaś, zostawisz samochód na środku drogi?! Przecież ja nie mam prawka, zaczęłam kurs i

przerwałam. Nie umiem prowadzić!

- Dasz sobie radę; tu jest sprzęgło, tu gaz, tu hamulec. Jak dojedziesz, to zaparkuj gdzieś.

Zdzwonimy się po zajęciach, zapraszam cię na gorącą czekoladę. - I zwiłała.

Agnieszka skokami żabki dotarła do najbliższej przecznicy i tam zostawiła opła corsę. A prawka do dzisiaj nie miała. Akurat kiedy zaczęła kurs, jechała z Bożeną na urodziny do Weroniki. Bożka prowadziła. Padał deszcz, było mokro i zaliczyły dzwona przy hamowaniu. Niewielkiego, Bozia stłukła sobie brodę, a Aga miała obtarte kolano, nawet jeszcze na tę imprezę dotarli. Kiedy jednak następnym razem usiadła za kierownicą podczas lekcji, to robiło się jej na przemian gorąco i zimno. Dostała duszności. Wysiadła. Potem próbowała jeszcze ze dwa razy i to samo. Na szczęście mogła jeździć bez sensacji jako pasażerka. Nawet w wyścigach rajdowych, jak okazało się w kwietniu. No i przydawała się w roli pilota Beci, która raczyła wszystkich owocami swojego rozczulającego roztargnienia. Sama ze śmiechem opowiadała, jak w przeszłości spóźniona zajrzała do sali wykładowej, ale uznała, że to nie jej grupa, powiedziała "przepraszam" i wycofała się. Nie poznała kolegów z roku. Na czwartym semestrze.

Jej rodzice, bardzo zamożni, mieszkali pod Olkuszem, ale córka nie chciała dojeżdżać, więc wynajmowała razem z nią mieszkanie. Była świetną współlokatorką, mało uciążliwą, nawet jeśli przy wspólnym gotowaniu zdarzyło jej się odcedzić ziemniaki po 15 minutach.

- Czemu tak szybko?

- Jakoś nie pomyślałam, zobaczyłam, że minął cały kwadrans, to wylałam wodę.

- I co, potłukłaś?

- No, właśnie nie chcą się potłuc.

Przyniosła sobie ulubioną pomidorową z makaronem, filet z kurczaka, surówkę z marchewki. Sąsiedzi obrzucili ją zciekawionymi spojrzeniami. Zignorowała ich. Po chwili jednak zaczęły do niej docierać coraz obszerniejsze fragmenty prowadzonej pełnym głosem rozmowy. Wcześniej ciągle nawijali o zakładach bukmacherskich.

- Był taki bar w Podgórzu, "Maryna"; fajne towarzystwo przychodziło tam na obiady - mówił ten starszy i większy. - Mogli mieć różne poglądy; prawicowe, nawet narodowe, ale zawsze dało się normalnie pogadać, czasem pokłócić, i ze smakiem wtulić kłopsa. To było to! Piękna atmosfera. Jestem zdeklarowanym Izraelczykiem, ale dobrze się tu czuję. I wali mnie, co mówią antysemitom. W tej stołówce też jest przyjemnie, tylko porcje za małe.

- Wszystko schodzi na psy. Zabłocie mogło być fajnym miejscem, z artystyczną atmosferą, gdzie ściągali ludzie poszukujący. Sam kupiłem tam mieszkanie. Ale teraz za dużo się tam sprowadza lokatorów z bmw, za dużo jest budynków poodgradzanych szlabanami - mówił młodszy, czterdziestolatek.

- Bo oni już nie są poszukujący. Znaleźli forszę i o nią się martwią. A zawsze chętnie kleją się do miejsc z klimatem.

- A propos podążania za nowymi prądami. Nie myślałeś o zgoleniu tych wąsów? Wyszły z mody, odkąd na początku daty jest dwójka.

- Widziałem niedawno na hotelu Cracovia reklamę ciuchów, gdzie Beckham był ubrany w dzinsy, wypuszczony na nie biały podkoszulek i luźną, rozpiętą koszulę. Tak się chodziło dwadzieścia lat temu i teraz ta moda wraca. Gdy wróci moda na wąsy, to ja będę przygotowany.

- Gdzie była taka moda? W Izraelu?

- Izraela to ty szanuj. Tam zawsze byli na bieżąco. Na początku lat 70., w Ejlacie nad Morzem

Czerwonym była plaża hipisów, gdzie młodzież przyjeżdżała z całej Europy Zachodniej, Stanów. Ja też byłem wtedy hipisem. Miałem włosy po pas, myłem się raz na pół roku: wchodziłem w ubraniu do morza i wychodziłem. Wody się nie piło, to ohyda, tylko jarało hasz.

- Jakoś cię nie widzę z jointem.

- Nie paliliśmy skrętów. Bierzesz butelkę, koniec zatykasz jakimś groszem, a w szyjkę wkładasz ustnik kartonowy z pudełka po papierosach. Szyjkę nabijałeś tytoniem zmieszonym z haszem. Hasz wcześniej zawijałeś w złotko i podgrzewałeś, żeby zmieknął. Libański mieknął szybciej, ten z Egiptu - wolniej. Spaliśmy na plaży, z psami, kotami. A od piątej rano - do roboty na lotnisko. Głowy jeszcze "zaprawione" po nocy, po południu 40 stopni gorąca. Robiliśmy pomiary, płacili dobrze.

- Myślałem, że poza miastami wszyscy tam żyli w kibucach.

- No bo na ogół tak było. Po przyjeździe z Polski trafiłem do kibicu Zdot Yam, na integrację i naukę języka hebrajskiego w ulpanie - szkole. Wszystkich imigrantów wsadzali do takich kibuców, bo gdy państwo powstawało - 1948 rok, bitwa o Jerozolimę - to zdarzało się, że w jednym oddziale ludzie mówili dwudziestoma różnymi językami. Były takie cyrki, że nie rozumieli komend i przez to ginęli. Musieliśmy pracować. Przy budowie łodzi, na plantacji bananów, zmywałem gary w kuchni. Kibuc był koedukacyjny, 16 facetów i 32 laski. A za kibucem był sad owocowy. Czujesz, co tam się działo?... Zlikwidowali ulpan, bo się burdel zrobił.

To wsadzili mnie w kibuc Yad Mordechai. Jechaliśmy dżipem do roboty, jak szaleni, i nagle pieprzona mina. Przeżyliśmy dzięki temu, że jechaliśmy tak szybko. Sraliśmy ze strachu, a ten kierowca, stary kibucnik - tylko się śmiał. Tam poznałem takiego Żyda z Rosji, Elizera Halfina. "Podkręcałem" z jego siostrą, bawiliśmy się razem. Ćwiczył zapasy, rzucał mną i kolegami. Na treningi przyjeżdżał do niego jeszcze jeden sympatyczny chłopak, też zapaśnik - Mark Slavin. Pojechali na olimpiadę do Monachium i zabili ich terroryści z "Czarnego Września".

Agnieszka nie przepadała nigdy za historią, wspomnieniami, ale tego słuchała jak bajki.

Przykuwała uwagę treść, tembr głosu węsacza, gestykulacja, którą widziała kątem oka. Jak coś takiego się nazywa? Monodram? Jego rozmówca najwyraźniej też był zauroczony, bo tylko podrzuczał hasła.

- Czekać Szymek, to kiedy ty wyemigrowałeś? Jak się poznaliśmy parę dni temu u buka, to napomknąłeś coś o dawnym Krakowie.

- Ojciec mnie wywiózł z Polski w 1969. Moje najlepsze lata były tutaj, do "siedemnastki" i z nich mam najwyraźniejsze wspomnienia. W Krakowie i tylko w Krakowie. Wszystkie świetlice, kluby. Nauka brydża. Była telewizja, był tenis, były zabawy, było fajnie. Chodziło się na mecze, na Wisłę. Tramwajem jeździło się na zewnątrz wagonu. Obok kina Wolność był taki łuk, gdzie tramwaj zwalniał. Tam szpanowaliśmy; wskakiwaliśmy i wyskakiwaliśmy w biegu. Jeździłem na hufce pracy, jeździłem na kolonie.

Narrator jakby wpadł w trans, rozmarzył się.

- Rodzice rozwiedli się jeszcze w 1951, rok po moim urodzeniu, nie nadawali się dla siebie. Matka była katoliczką, nawet posłała mnie do Pierwszej Komunii. Zostawała w Krakowie, ale chciała mnie usunąć z widoku, bo byłem rozrabiaka. Rwałem się do bitki, jak skurczybyk. Mieszkałem na Kazimierzu - Skawińska, Fornalska. Na moście Piłsudskiego zawsze było pranie z Podgórzem. Całymi bandami, taki łomot. Dwa razy poleciałem z mostu do Wisły. Przyjeżdżała milicja, ale wtedy łączyliśmy się i trach na nich. Ale nie było bandytyzmu, jak dzisiaj. Nawet kiedy ludzie nosili noże, to nie zdarzało się, żeby jeden drugiego żelazem posunął. Dyskoteki! Na Rakowickiej była świetna "szopa". Jak przychodziłeś z innej dzielnicy, zwłaszcza na Zwierzyniec, Podgórze, to

dostawałeś wycisk. Ale na Kazimierzu trudno było wysiedzieć, dwie knajpy - zupełnie inaczej niż teraz. No i dziewczyny ciągnęły.

Poszła po deser. Zostanie tu póki będzie trwać słuchowisko. Potem jeszcze Maćkowi opowie. Kiedy wróciła z kawałkiem szarlotki na talerzyku, ten Szymon powiedział:

- Zazdroszczę. Taka pani szczupła, to i może pani pozwolić sobie na słodycze. Ja już mogę tylko patrzeć. Dobrze, że w innych dziedzinach aktywności na razie mnie to nie dotknęło.

Aluzja dwuznaczna, ale wypowiedziana z wdziękiem. Uśmiechnęła się.

- Tak ciekawie pan opowiadał, że zgłodniałam.

- Podśluchiwała pani?! - to ten młodszy, Tomek. Teatralnie, z dezaprobatą zmarszczył brwi.

- Ależ skąd! Mówiliście tak głośno, że nie trzeba było podśluchiwać.

Teraz to oni się roześmieli.

- Zapraszamy do nas - wykonał szeroki gest Szymon. - Pani zje ciacho, my popatrzymy na to, co jeszcze by się chciało, ale już nie wolno. A ja przy okazji opowiem to i owo.

Usiadła przy ich stoliku. Teraz patrzyła na "Błękitka" leżącego na trasie do jej osiedla, mającą w oddali Arenę, a na pierwszym planie - kościół jezuitów. Krakowskie Sacre Coeur, błędnie umiejscowione na Osiedlu Oficerskim, a nie na krakowskim Montmartrze, czyli Starym Podgórzu - żartował często Jasiek, jej były. Miał mnóstwo takich pomysłów, pisał wiersze, zwierzał się ze swoich marzeń. Spacerowali często po Montmartrze, wspinali się po schodach na Tatrzańskiej, odwiedzili nawet miniaturowy krakowski Pere Lachaise, czyli cmentarz na zboczu Wzgórza Lasoty. Pili w wyobraźni kawę na balkonie swojego, pozostającego w budowie, apartamentu przy pnącej się w górę uliczce za kościołem Św. Józefa. Na dłuższą metę jednak zachowanie Janka stawało się uciążliwe, poza tym kiedy opadło pierwsze zauroczenie, zaczęła się przy nim nudzić. Zrozumiała, że zapatrzony jest głównie w siebie. Rozstali się. A ten dom przy Parkowej do dzisiaj nie został wykonany.

Tymczasem Tomek uruchamiał Szymona.

- A na wojnie przypadkiem nie walczyłeś? Czytałem, że to było wtedy państwo-garnizon, każdy musiał swoje odsłużyć.

- Walczyłeś.

- I tyle? Co się tak tajemniczo uśmiechasz?

- Bo to nie są sprawy do rozgłaszania.

- Trafiłeś na bardzo dyskretnych słuchaczy. Tylko popatrz na panią Agnieszkę. - Byli już po prezentacji.

- Jak wzięli mnie do wojska, to akurat zaczęła się wojna Jom Kippur w 1973 roku. Strzelałem z haubic, były straszne hece, pełno kolegów mi zginęło. Był już prawie koniec Izraela, mieliśmy może dwa dni życia, ale generałowie rosyjski i syryjski zatrzymali wojska na wzgórzach Golan, bo myśleli, że jest pułapka w Galilei. A nie było żadnej pułapki - gdyby poszli do przodu, załatwiliby nas. Obaj zostali za to rozstrzelani.

Gdy wyszedłem z armii, handlowałem czym się dało. Dopiero w 1981 roku przekombinowałem. Facet powiedział, że towar jest od marynarza z amerykańskiego statku, który zawinął do Hajfy, a to była lewizna. Ukradli go gościowi, który mieszkał dwie ulice ode mnie. Przyjechało ośmiu gliniarzy z psami, siedziałem dwa tygodnie do rozprawy. Skoro on mnie wyrolował, to ja jego też - wysypałem wszystko i dostałem tylko grzywnę.

Agnieszka zauważyła, że nie tylko oni słuchają. Ludzie przy następnym stoliku nadstawiali uszy, a

ci ze stojącego w najdalszym rogu przesiedli się na miejsca, które ona niedawno zwolniła.

- Już wcześniej zostałem malarzem pokojowym. Mam do tego dryg. Zarabiałem masę pieniędzy. Lubiałem muzykę, zbierałem płyty. Kupiłem głośniki GPR, wzmacniacz MacIntosha i gramofon ręczny. Ważył ze trzydzieści kilo, otwarty na dole, widać było cały mechanizm, błyszczący oliwą. Nikt takiego nie miał. Jak go później sprzedałem, to miałem kasę na połowę mieszkania w Tel Awiwie. Gramofon przydawał się nie tylko do tańców. Mieszkałem z kumplem, który też przyjechał z Polski, Leszkiem, specjalistą od kobiet. Jak je brał, to chodziły po ścianach. Odgłosy były takie, że ludzie na całej ulicy wyglądali przez okna. Musiałem w sąsiednim pokoju puszczać rocka na cały regulator, żeby go zagłuszyć i nie zwariować. Ten Leszek miał galerię, wciągnął mnie do innego towarzystwa, dwie klasy wyżej. Inżynierowie, lekarze, artyści. Bogaci ludzie. Mieliśmy salon - przyjęcia, muzyczka. Taka la boheme.

Chichoty kwitujące rolę gramofonu potwierdziły jej przypuszczenia. Widownia rozciągała się na całe pomieszczenie.

- Poznałem inżyniera budowlanego, który był świetnym teoretykiem brydża. Pisał systemy, ja błyskawicznie się uczyłem, niesamowicie łatwo mi to przychodziło. Założyliśmy drużynę. Trzy razy byliśmy w finale mistrzostw Izraela, wśród dwunastu najlepszych par. Dzięki brydżowi wszedłem w jeszcze lepsze towarzystwo: maklerzy, adwokaci, ekonomiści, szefowie spółek giełdowych. Był szef departamentu walut w jednym z większych banków Izraela, zresztą gość z Krakowa. Tam grało się strasznie grubo, po 15-25 szekli za punkt. Byłem przy nich nikim, ledwo zdążyłem zmyć farbę z palców, ale było mnie na to stać i szanowali mnie za jaja w grze. Załatwiałem robotę dla siebie i znajomych; a wystarczyło posłuchać, o czym rozmawiają i wiedziałem, co kupować na giełdzie. Czasem żartowałem: "Podpowiedzcie coś, bo bieda dupę gryzie". I mówili: "Kup to, kup tamto".

Jeszcze w Ejlacie zobaczyłem w gazecie notowania giełdy. Hebrajski znałem słabo, przyjechałem z komuny, za cholere nie mogłem załapać, co to jest. Wytłumaczyli mi, że mogę kupować akcje i zarabiać na tym. Zapaliło się światło. Nauczyłem się dobrze czytać po hebrajsku, żeby zrozumieć, jak to działa. Grałem ponad dwadzieścia lat, cztery razy dostałem strzała. Najgorszego w 1994 roku. Pagib na wojnie. Pewność siebie mnie zgubiła, dostałem wiadomość z pierwszej ręki i widziałem się już milionerem. Straciłem siedemset tysięcy dolarów, z czego dwieście tysięcy kredytu bankowego, którego nie mogłem spłacić. Musiałem zwiewać.

- I dlatego się poznaliśmy - uśmiechnął się Tomek. - Widzę, że zamieniłeś akcję na obstawianie meczów, gdzie straty są mniejsze.

- Na jakiś czas zamieniłem, ale dziewięć lat temu poszedłem znowu na giełdę. Najpierw dostałem w łeb 100 tysięcy złotych. Chciałem się odegrać i poszło następne 250 tysięcy. Straciłem finezję, gorzej wyglądałam, gorzej się czuję.

- Eee, tam! Dobrze pan wygląda. Niczego sobie wyglądasz - Agnieszka i Tomek zaprotestowali niemal unisono.

- Bo gram dalej, na kontraktach. Na niskie stawki - bywało, że miałem nawet setkę kontraktów, teraz obracam trzema - ale tak samo ostro i ryzykownie jak dawniej.

- Szymek, ale to jest chorobliwe... Może byś pogadał o tym z jakimś specjalistą - przyciszonym głosem powiedział jego towarzysz.

- Nie, ja jestem graczem. To nie nałóg, to styl życia. Gdy miałem dobrą passę, chodziłem do najlepszych restauracji i świetnie się z tym czułem; że mogę wypić taką kawę, zjeść takie ciacho, obiad. Byłem w niebie. Patrzyłem jak obok mnie przetaczają się inni, lepsi ludzie. A ja nie miałem



wykształcenia, dobrego zawodu, ale mnie honorowali, bo miałem kasę. Jedni chleją wodę, inni wydają na kobiety, a ja mogę być nawet zupełnie splukany, ale kiedy gram, to czuję, że żyję. Po tym wyznaniu zapadła głucha cisza. Szymon dzwignął się z plastikowego krzesła.

- Opróżniłem słoik rano, więc mogę wam zafundować po soczku. Jak wrócę, to jeszcze coś opowiem. Może w międzyczasie zrobi się luźniej, a towarzystwo przerzuci się ze słuchania cudzych rozmów na radio.

Zszedł po schodkach do salki, w której mieściła się kasa, urażeni sąsiedzi zbierali się od stolików. Aga spytała:

- O co chodzi z tym opróżnianiem słoika?

- To akurat już mi opowiadał. Część wygranych u buka rozmienia na pięciozłotówki, które wkłada do litrowych słoików po ogórkach. W jednym mieści się ponoć jakieś 3,5 tysiąca złotych. I trzyma je na "czarną godzinę", monety się nie niszczą. Zwierzał się, że w niektórych okresach miał nawet po sześć takich.

Agnieszka rozumiała, że u kogoś wywodzącego się z narodu, w którym milionom ludzi zrabowano najpierw cały majątek, zanim odebrano życie, taki nawyk musi mieć głębsze podłoże. Dziwiło ją, jak łatwo zadzierzgnęła nic porozumienia z przypadkowo spotkanymi ludźmi.

Szymon wrócił z trzema butelkami soku, każdą wieńczył nałożony na szyjkę plastikowy kubeczek.

- Zgaduję, że pani Agnieszce odpowiada pomarańczowy? - Kiwnęła głową. - Dla ciebie, Tomek, grejpfrut, dla mnie jabłko. Pamiętajcie taką kawiarnię "Cafe Eldorado", na rogu Szewskiej i Rynku? Istniała podobno do początku lat 90.

- Na mnie nie patrzcie, mieszkam tu od sześciu lat - wzruszyła ramionami Aga, bo sprawiali wrażenie, jakby czekali, aż powie coś jako pierwsza.

- Ja pamiętam - Tomek podniósł dwa palce, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. - Kiedy pierwszy raz przyjechałem tu na wycieczkę szkolną, chyba w drugiej klasie, poszliśmy tam na lody. I szok, bo jedna gałka kosztowała 25 złotych, a u nas w Gorlicach były po pięć czy sześć zeta. Mimo to przychodziłem tam przy okazji każdego następnego pobytu w Krakowie. Te lody były bardzo dobre, chyba na jakiejś hiszpańskiej recepturze, a przy tym powiew luksusu i zachodu.

Najelegantsze kible w mieście.

- Grałem w pokera w Hajfie z Jozką Steinerem, żydem z Tarnowa, który był współwłaścicielem tej knajpy.

- Ale na jakiej zasadzie? Za komuny?

- W czasach, gdy miał "Eldorado" nie mieszkał w Izraelu tylko w Madrycie i był udziałowcem firmy, która sprowadzała kawę z Kolumbii i rozprowadzała ją w Hiszpanii, Portugalii i Francji. W Krakowie zaczynał studia, póki nie musiał wyjechać w '56 i ciągnęło go tu z powrotem, więc postanowił, że stworzą spółkę z jakimiś esbekami z Polski. To się nazywało wtedy chyba firma polonijna. Zaczęli sprzedawać tutaj tę kawę, ona też się nazywała "Eldorado". A potem założyli kawiarnię. Jozka interesował się piłką, wymyślił, że zajmie się menedżerką i będzie polskich piłkarzy transferował na Półwysep Iberyjski. No ale kogo on mógł wtedy tam sprzedać? Zresztą choćby nawet ktoś się nadał, to przepisy nie pozwalały. W każdym razie zbliżył się do Wisły, jakieś pieniądze im dawał, a oni grali w koszulkach z nazwą tej kawiarni. Chwalił się, że była to pierwsza reklama prywatnej firmy w polskiej piłce. W finale Pucharu Polski z Lechem Poznań w przerwie dostali polecenie od jakiegoś generała, żeby zmienić koszulki, bo nie mogą ich wspierać siły imperialistyczne.

- Fajna anegdota, ale czemu robiłeś przy tym takie tajemnicze miny i wypłoszyłeś całą klientelę ze stołówki?

- Bo tam jest ukryty jakiś skarb.

Jego rozmówcy spojrzeli po sobie z identycznymi minami.

- Bez kitu! - odezwał się Tomek.

- Opowiadam jak było. Przy pokerku wciąga się łyskacza albo koniaczek, co komu lepiej wchodzi. Ja zawsze się ograniczałem, bo mi to dawało przewagę, za to Steiner był już wtedy przebrany za Kwaśniewskiego wracającego z Filipin. Mówił, że kawiarnię zlikwidowali i dlatego skarbu nie można było wydobyć.

- I nie wydobyli go do tej pory?

- To jest dziwne, nie? Wspólnikami w tej hiszpańskiej firmie "Eldorado" byli Kolumbijczycy zajmujący się produkcją kawy, którzy w przeszłości działali w futbolu. Ale mieli też coś wspólnego z Brazylią. Ktoś umarł, kogoś zabili, a razem z nimi przepadła wiedza potrzebna do odkrycia tego skarbu. "Jedna droga prowadzi z Rio, druga droga prowadzi z Baranquilli" - powtarzał Joszka. A potem odpłynął. Następnego dnia już nic się nie dało z niego wyciągnąć, przepraszał tylko, że bredził po pijaku. Ale może coś w tym być. Tę firmę w Hiszpanii w każdym razie rozwiązali, kawa już tak nie szła, chyba mieli kłopoty z prawem, podejrzenie o przemyt. Dlatego Steiner zamelinował się w Izraelu.

Już po pożegnaniu na skraju ul. Tomasza, gdy szła przez Planty na "14" i jechała nią do domu, obracała w głowie hasła "droga prowadzi z Rio", "droga prowadzi do Rio". Przecież to do Rio de Janeiro odlecieli ludzie, którzy gonili ich po bulwarach. Portorykańczyk, Brazylijczyk i Kolumbijczyk... Przestała się tym ekscytować, kiedy wysiadła na Dąbiu i na przystankowej wiacie zobaczyła plakat:

**ZAGINEŁA**

**MAGDALENA PIOTROWSKA**

**LAT 25**

*Ostatnio widziana wieczorem, 13 maja. Wychodząc z domu była ubrana w białe obcisłe spodnie z potarganymi nogawkami, czarną bluzkę z dekoltem, kurteczkę w butelkowiezielonym kolorze i grafitową apaszkę.*

*Gdyby ktoś wiedział cokolwiek o jej losach, proszony jest o kontakt z policją lub rodziną, pod nr tel. 515-423-444.*

Jejku, dziewczyna w moim wieku, westchnęła Agnieszka. Patrząc na czarno-białe zdjęcie nie umiała rozstrzygnąć, czy to nie tamta pijana Madzia z nocnego tramwaju w kwietniu. A potem przypomniała sobie o Oli.

Nawet dokładnie nie wie, od czego zaczął się jej konflikt z rodzicami; przywiozła do domu jakiegoś faceta, który im się nie spodobał. Agnieszki nie było wtedy w Łańcucie. A może to był już drugi mężczyzna, którego im przedstawiła i o to poszło? Odtąd dużo rzadziej pojawiała się w domu, aż w końcu oznajmiła, że wyjeżdża za granicę. Oni jej zabronili, powiedzieli, że musi najpierw skończyć studia. Następną kłótnia, tata w nerwach powiedział, że jak robi taką rzecz samowolnie, to niech się więcej nie pokazuje. A ona wzięła to bardzo poważnie. Zniknęła. Po paru miesiącach wysłała na Święta kartkę z Anglii, ale bez dokładnego adresu zwrotnego. Po roku, na następne Boże Narodzenie, odezwała się z Irlandii. I od tamtej pory już nic. Rodzice rozpuszczali wici przez znajomych z Łańcuta mieszkających na Wyspach. Ktoś widział ją w Londynie, ktoś w irlandzkiej

miejsowości Killarney. Znalazł się też człowiek, który wrócił na stałe do Polski - twierdził, że dwa lata temu rozmawiał z nią na lotnisku w Dublinie, a potem leciała tym samym samolotem do Krakowa. Co się z tobą dzieje, kochana?

### III.

- Megaoptimistyczna muzyka. Zamula mnie - marudziła Aga. Rozkładali się na leżakach w tej trendy knajpie na otwartym powietrzu, nad Wisłą. Natarczywie przyglądał się im jakiś facet, siedzący na skrzynce kilka metrów dalej. - Masz ochotę tu zostać, czy zmienimy miejscówkę?

- Za dużo ludzi i za głośno. Pójdę tam, gdzie ty - odparł Maciek.

- I co sądzisz o skarbie w kawiarni "Eldorado"? - spytała, gdy już spacerowali nad samym brzegiem w kierunku mostu nad Wilgą.

- Wygląda na jeszcze jedną urban legend. Razem z całym życiorysem tego Szymona.

- Nie wierzyłabym w skarb, ale słyszałam jak opowiada swoje historie. Brzmiało to bardzo autentycznie.

- Przecież można to przynajmniej w części zweryfikować, niezależnie jak prawdziwe się wydaje. Nie przepadam z różnych przyczyn za Olejnikową i Kolendą. Nawet nie wiem, która grała tu główną rolę, ale jest dla mnie symbolem dociekliwości w ogóle, a dociekliwości dziennikarskiej w szczególności. Po tym jak PO przejęła władzę w 2007 roku, w Ministerstwie Sprawiedliwości zwołano konferencję, na której zaprezentowano między innymi laptopa rzekomo zdewastowanego przez Ziobrę. Prowadzący pieklił się: "zniszczony, nie da się odzyskać danych" - komputer faktycznie był zdezelowany. A ta podeszła, nacisnęła przycisk "start" i lapek wstał. To się nazywa sprawdzanie informacji.

- Wyobraź sobie, że ogarnęłam tę misję. Znalazłam w necie Elizera Halfina, Marka Slavina, komunę hippisów w Ejlacie. O wojnie Jom Kippur czy emigracji z Polski w latach 1956 i 1968-69 nawet nie mówię, bo o tym uczą w szkole. O "Cafe Eldorado" można przeczytać niewiele; istniała do 1992 r., jest nawet zdjęcie z początku lat 90., wzmianka o tej reklamie na koszulkach Wisły. Obczaj sobie.

- Jeśli wszystko jest w sieci, to i on budując własną historię mógł tam znaleźć pasujące elementy.

- Oj tam, oj tam. Powinieneś go posłuchać. To nie jest aktor, tylko człowiek, którego wszystko co najlepsze już w życiu spotkało, a teraz egzystuje dzięki wspomnieniom i złudzeniom powrotu do dawnej świetności. Właśnie za pomocą jakiegoś skarbu.

Maciek spojrział na nią szybko, jakby z bólem. Choć może to sobie wyobraziła.

- A czemuż to nie lubisz pań Olejnik i Kolendy-Zalewskiej?

- Są zbyt pewne siebie i przebojowe. Takie kobiety budzą we mnie odruchową obawę.

- No to już wiem, dlaczego mną się interesujesz. Pewność siebie to towar, który bym dokupiła w każdej ilości. Regularnie sprawdzam na Allegro, czy nie pojawiła się w ofercie.

- Co ty za filmy sobie wyświetlasz?

- Popatrz dokładnie na mój nos, piegi i uszy, to będziesz wiedział.

- Dodają ci tylko uroku.

- Urok to jest wtedy, gdy ktoś krzywo się na ciebie popatrzy. A z mojego nosa można by skakać na nartach.

- Jest legion facetów, którzy skoczyliby do Wisły, żeby tylko móc go codziennie oglądać z bliska. A biorąc pod uwagę, że poza dołeczkami w policzkach masz również trzeci, w brodzie - jesteś obdarzona ponad miarę. Nawet jeśli żaden ci tego dotąd nie wytłumaczył, powinnaś widzieć to w

ich oczach.

I kto powiedział, że sprowokowane komplementy sprawiają mniejszą przyjemność.

Z Krakowskiej wjeżdżał w Podgórze tramwaj imprezowy. Wśród różnobarwnych rozbłysków kilkanaście osób płaśało w rytm muzyki, jakiś chłopak w rozpiętej koszuli wystawiał bokiem głowę przez małe okienko i krzyczał do nich coś niezrozumiałego.

- Ile razy widzę ten pojazd, zastanawiam się, po co wydawać kupę kasy, żeby zrobić sobie urodziny w koszarnej ciasnocie, kolebiąc się na szynach, co tylko przyprawia pijanych o wymioty - powiedział Maciej, gdy przecinali wskroś Most Piłsudskiego.

- Nigdy nie zrobiłeś nic szalonego, co? - uśmiechnęła się Aga.

- Raz. Siedem lat temu poprosiłem o rękę dziewczynę, z którą długo chodziliśmy.

- I? - podświadomie wstrzymała oddech.

- Ona miała wtedy 25 lat i stwierdziła, że nie zamierza marnować życia przed "trzydziestką" na małżeństwo. Plus trochę zwyczajowych farmazonów o konieczności przechowania w pamięci tego, co nas łączyło i jej przyjaźni, na którą mogę liczyć. Nauczyłem się, żeby czekać, aż kobieta sama zaproponuje małżeństwo.

- Nie wiem, czy to jest taktyka gwarantująca powodzenie. Ale przynajmniej oszczędzi rozczarowań płynących z odmowy.

- A co ty byś powiedziała, gdybyś znalazła się w jej sytuacji?

- Hipotetycznie?

- Oczywiście.

- Że weźmiemy ślub, gdy będziesz miał siedemdziesiąt lat i przyniesiesz pisemną zgodę obojga rodziców.

- Jesteś rozkosznie złośliwa. W połączeniu z czarującą buzią to jak czekolada z dodatkiem papryczki chili.

- Trafiłeś w sedno! Toż to delicje. Jeden z najdroższych egzemplarzy na regale ze słodyczami.

- Uhm. Zostaje po niej pusta kieszeń i pieczenie w ustach.

- Zawsze później możesz popić - wyciągnęła z torebki butelkę Fanty, którą nosiła tam od wczorajszego treningu, i oboje wybuchnęli śmiechem.

Wchodzili na Kładkę Bernatka, dla której inspiracją miała być struktura liścia. Może dlatego przyciągała mnóstwo maleńkich muszek. Woda lekko się poruszała, kołysały światła, na jednej z barek grała muzyka. Naprzeciwko rozciągał się Bulwar Kurlandzki. Przywołał u obojga to samo wspomnienie, bezwiednie wzięli się za ręce. Zdawała sobie sprawę, że wspólnie przetrwane chwile grozy zbliżyły ich bardziej, niż mogły to uczynić miłe przeżycia.

Na środku kładki powstało jakieś zamieszanie. Kilka osób stało łukiem, ktoś mówił coś podniesionym głosem, chyba po francusku, ktoś robił zdjęcie komórką. A przed nimi człowiek z rozwianymi, przerzedzonymi włosami, w chałacie przypominającym fartuch stanowiący wyróżnienie w kulinarnym szoś w telewizji, nożycami o długich trzonkach rozcinał przypięte tam przez zakochanych kłódki.

- Mistyfikacja, mistyfikacja - sapał i poświstywał. - To wszystko mistyfikacja!

- Co pan robi? Proszę przestać! - Maciej położył mu rękę na ramieniu, ale ten odepchnął go aż się zatoczył.

- To mistyfikacja, żeby kobietę zaciągnąć do łóżka, albo chłopą przed ołtarz. - Szarpał kolejną kłódkę.

- Przestań pan do diabła! - Maciek złapał za rączki szczypiec i zaczął mocować się ze świrem.

Agnieszka już chciała ruszyć mu na pomoc, bo widziała, że żaden z gapiów się z tym nie kwapi, ale przyparł przeciwnika do barierki, uderzając go bokiem, a tamten tracąc równowagę połuźnił uchwyt. Maciek wyrwał mu nożyce i rzucił do rzeki. Wraz ze stratą przyrzędu z tamtego odpłynęła energia. Osunął się po siatce na ziemię, podciągnął kolana, schylił pomiędzy nie głowę.

Aga pociągnęła Maćka za łokieć. Szli obok siebie w milczeniu, wcześniejszy nastrój przysł.

- Może wstąpimy na zapiekanki na Placu Nowym? - Nie była głodna, ale chciała przełamać niezręczną ciszę. - Które najbardziej lubisz?

- Z zapiekanek w okrągłaku najbardziej lubię hot dogi z kiełbaską leszczyńską - zaśmiał się krótko.

- Mają takie oldskulowe, z prawdziwego sztangla, wydrążonego, a nie rozcinanego. Pod koniec lat 80. specjalnie jeździłem po lekcjach z Bronowic na Dworzec Autobusowy, bo tam sprzedawali je przy głównym wejściu.

W okienku jednak widniała napisana odręcznie kartka "Zaraz wracam", z "w" kształcie serca, czy też - biustu.

- Przyszedł mi do głowy lepszy pomysł - podjęła nagle decyzję. O niej na pewno nie powie, że prowadzi grę na przetrzymanie "komu bardziej zależy". - Przywiozłam z domu sos pomidorowy, który robimy od kilkunastu lat. Kiedyś moja siostra się w nim specjalizowała, a teraz ja to przejęłam. Pyszny, z cebulą, masą oregano. Ugotuję makaron i zjemy wieczorem coś zdrowego.

Becia pojechała na weekend do rodziców, zostanie więcej dla nas. Co ty na to?

Maciek patrzył na nią, urzeczony. Jak zahipnotyzowany, pokiwał tylko głową.

#### IV.

- Wiecie, w tej Karinie jest pociąg. - Większość zajęć już minęła. Siedziały na ławeczce i podłodze, a Nosacz na swój zabawny sposób, jednak z pełną powagą, analizował grę ich środkowej. -

Karinka, ty masz coś w sobie, masz coś, co mogłoby wróżyć przyszłej grze, przyszłości siatkówki... Dochodzisz do bloku, ale jest w tym chyba coś... Coś za późnego.

Zduśliły chichoty. Niby nic, ale gdyby teraz przyszło do meczu, Karina zasuwaby od skrzydła do skrzydła, jak z motorkiem w pupie. Tyle że żadnego meczu już nie będzie, a nie wiadomo, co potem. Zostało jeszcze kilka treningów, od czasu wieści przyniesionych przez Maćka nie dowiedziały się niczego nowego. Gdy opowiedziały to Nosowskiemu, najpierw je skrytykował za "rozpowszechnianie niewiarygodnych głupot", a po kilkadziesiąt minutach zaczął dopytywać o szczegóły. Wyraźnie nie był zaznajomiony ze sprawą i chyba zastanawiał się, czy w ogóle przewidziano dla niego miejsce w nowym zespole. Agnieszka dostała dwie propozycje z północy Polski, jeden menedżer nudził ją na fejsie, że znajdzie jej klub za granicą, na Cyprze lub w Grecji, ale teraz nie chciała wyjeżdżać.

Maciek... Chwilami czuła, jakby jej życie sprowadzało się do kilkadziesiąt dni i kilku nocy ich znajomości. Dawniej potrafiła zachować większy dystans w takich sprawach, a teraz koncentracja odpływała zniemacka. Może dopiero teraz zakochała się naprawdę?

Po raz pierwszy od ponad czterech lat, kiedy była świeżo po przyjeździe z Łańcuta i brakowało jej na boisku cwaniactwa, nie zajęła pierwszego miejsca w turnieju małych gier. Rywalizacja trójek na połówce boiska była manią Nosacza, ciągnęło się to przez cały okres przygotowawczy, a potem po zakończeniu sezonu. Twierdził, że dla nich to nauka, a dla niego bezcenne źródło wiedzy o podopiecznych. Składy były zmieniane w każdym meczu, każda musiała zagrać w każdej konfiguracji, co obiektywizowało wyniki. A trener, który często polegał na improwizacji, bywał nawet dyrektorem zamętu, tutaj skrupulatnie rozpisывał harmonogramy spotkań i notował rezultaty.

- To co, zagramy sobie jeszcze w "dyszelki"? - obudziła ją doskonale znana fraza. Kolejne ulubione ćwiczenie Nosacza: ustawiały się w kolejkach na dwóch krańcach boiska, przebijały piłkę rękami ułożonymi jak do przyjęcia, pilnując samotnie większości boiska, a potem przebiegały na koniec. Ta, której się nie udało, była "skuta" i schodziła na ławkę. Dwie ostatnie rozgrywały ze sobą finał.

- Ciekawe, gdzie będą realizowane nagrody za turniej - w szatni Weronika jeszcze ekscytowała się pierwszym w karierze zwycięstwem. Nosowski najlepszym fundował lody, im wyższe miejsce, tym więcej gałek.

- Może by pójść do "Antoinette" przy Placu Szczepańskim. Niedawno jadłam tam kremowy deser, który był lepszy niż orgazm - odezwała się Monika. Nazwę lokalu wymawiała po polsku. Agnieszka wyłączyła się, jak to miała ostatnio w zwyczaju, przebierała się machinalnie. Docierały do niej zwyczajowe heheszki i urywki rozmów.

- Podobała mi się ta bluzka ale okropnie grubo w niej wyglądałam.

- Pamiętasz, jak ta stylistka podczas sesji do kalendarza powiedziała, że kobieta nie powinna nawet śmieci wyrzucać bez pomalowanych rzęs?

- Phi, iPod... Jak znajdę taki, co robi gorącą czekoladę, to sobie kupię.

- Nie zauważyłaś tej relacji live z domowego robienia manicure?

- Gadałam akurat na skajpeju.

- Ja ogarniam jednocześnie sześciu ludzi na fejsie i jeszcze insta.

- Kurde, dostałam mandat trzy dni temu. Nic nie działało na tego kanara - narzekała Monia. - Przeczytałam dzisiaj w "Kurierze Krakowskim", że była jakaś chora akcja "bezpieczny powrót" i złapali 66 gapowiczów.

- Grubo. No popatrz, każdy może trafić do zbiorowych statystyk, nawet takie indywidualności, jak ty - pocisnęła jej Bożka. - Słuchajcie laski, ta akcja nie jest taka chora, uważajcie na siebie. Nie szwendajcie się wieczorem same. Spotkałam w Arenie znajomego policjanta, który nadzorował zabezpieczenie turnieju siatkarzy. Są już podobno na tropie tego zboka, który uprowadza dziewczyny. Mają jego portret psychologiczny; to facet wchodzący w wiek średni, samotny, uprawiający wolny zawód. Wiecie już, kogo się wystrzegać.

- Chyba ty!

- No tak, lepiej melanzować w dobrym towarzystwie. Aga, wbijasz z nami dzisiaj do "Plamy"?

- Dzięki, raczej spędzę wieczór w domu.

- W czym, Aga?

- No coś ty, mała impreza jeszcze nikogo nie zabiła.

- Aga jest umówiona ze swoim rycerzem.

- Przynajmniej go ma! - Werka powiedziała to takim tonem, jakby udzielała im reprimendy.

Maciek czekał przed wyjściem. Dawniej nie przypuszczała nawet, że mogłaby być z o tyle starszym facetem, ale teraz nie wyobrażała sobie związku z kimś innym. Na słupie ogłoszeniowym przed przystankiem obok hali wisiała nowa edycja plakatów o zaginionej Madzi Piotrowskiej. Ona czuła się bezpiecznie.

## V.

- Jesteś ósmym cudem świata. Nie wierz nikomu, kto by twierdził inaczej.

- Faceci są nie do podrobienia, wymyślają takie teksty na poczekaniu - Agnieszce nawet nie przeszkadzała egzaltacja stwierdzenia, po prostu czasem odżywała dawna skłonność do kpin.

- Przynajmniej nie możesz powiedzieć, że chcę w ten sposób zaciągnąć cię do łóżka - odparował

Maciek.

Wybuchnęli śmiechem, pocałowali się. Leżeli przytuleni. Godzinę temu zbudzili się już po raz drugi. Najpierw ocknęli się dość wcześnie rano, ale po kilkadziesiąt minutach znowu zasnęli.

- Muszę dzisiaj posiedzieć trochę w redakcji; mamy dwa zebrania, kobieta z księgowości też czegoś chce. Podrzucić cię na Dąbie przy okazji, czy wolisz zostać tutaj?

- Zostanę. Na jedenastą mam wpisy na uczelni, pojedę prosto stąd.

Poszedł pod prysznic, a kiedy wrócił rozsiewając zapach płynu do kąpieli, zaczął grzebać w plecaku. Wyciągnął plik zadrukowanych kartek.

- Wczoraj wieczorem zapomniałem, zbyt byłem zaaferowany... Mam coś dla ciebie. Wprawdzie nie wierzę w tę historię o skarbie, ale przypadkowo znalazłem coś, co ma związek z Kolumbią, piłką nożną, a może nawet z "Cafe Eldorado". Bo z kawą na pewno tak. Kumpel mi to podsunął; zaczęliśmy gadać o filmach o tematyce sportowej i stwierdził, że oglądał w oryginale brazylijski film "Hele?o", o gościu, który miał być lepszy niż Pele. A ja nigdy o nim nie słyszałem. Tak jak nie słyszałem o lidze w Kolumbii, gdzie grał. Nazywano ją "Liga Pirata", ewentualnie właśnie - "El Dorado".

- "Piracka liga"?

- Wszystko jest tutaj - podał jej kartki. - Parę miesięcy temu napisali o tym w "Piłkarskiej Fabryce", czymś pomiędzy książką a nieregularnie ukazującym się magazynem. W każdym razie bardzo ekskluzywnym i ambitnym.

- Skoro to jest ambitny artykuł, to dlaczego tak wygląda? - pomachała kartkami.

- Bo to od tego kolegi, o którym opowiadałem. A on ma małą obsesję na punkcie swoich zbiorów i nie pożycza żadnych papierowych wydawnictw. Zrobił mi ksero.

Maciek szybko się ubrał, wrzucił parę rzeczy do plecaka.

- Muszę lecieć. Lodówka jest zaopatrzona, smacznego. Może zobaczymy się po południu? W tym tygodniu, niestety, mniej czasu spędzimy razem. Na weekend muszę skoczyć do Mszany, do rodziców.

- Nie musimy się wtedy rozdzielać.

- Chcesz jechać? Gdy pytałem cię w ubiegłym tygodniu, stwierdziłaś, że zostaniesz w domu i będziesz ryc do egzaminu.

- To nie znaczy, że nie myślałam o wyjeździe.

- Często tak masz, że mówisz "nie", kiedy myślisz "tak?"

- Nie ma jednego algorytmu.

- Od czego to zależy: faz księżyca, pogody, czy po prostu od tego, co było na obiad?

- Różnie bywa. Gdybyś szedł do redakcji na popołudnie, może zdołałabym choć w części ci to wytłumaczyć.

Czekolada z chili stawała się ich przysmakiem. Odprowadziła go do drzwi, spędziła chwilę w łazience, z lodówki wzięła tylko jogurt i z plikiem kartek ułożyła się pod kołdrą.

Historia była rzeczywiście czadowa. Na przełomie lat 40. i 50. stworzono w Kolumbii zawodową ligę uważaną za najlepszą na świecie. Prawie dwie trzecie stanowili piłkarze sprowadzani z zagranicy, przede wszystkim z Ameryki Południowej, a w niej - z Argentyny. Ale byli również Europejczycy. Kolumbijczycy ich po prostu... kradli. Nie płacili macierzystym klubom za transfery, omijali wszelkie międzynarodowe regulacje. Po prostu dawali zawodnikom furę hajsu i zapraszali ich do siebie do gry. Dlatego liga "Dimayor" była nazywana "Liga Pirata".

Co ciekawe, choć obecnie każdy dzieciak wie, czym są kolumbijskie kartele, pieniądze nie pochodziły z narkotyków, które nie weszły jeszcze do obiegu. Do Stanów eksportowano stamtąd rocznie 300 tysięcy ton kawy. Zarabiali dobrze także na handlu bydłem, rudą żelaza, ropą naftową. Artykuł był barwny, poprzetykany cytatami z Gabriela Garcii Marqueza, który jak się okazuje był w tamtym okresie dziennikarzem i pasjonował się futbolem. Poza nim Agnieszka rozpoznawała tylko jedno nazwisko - Alfredo di Stefano, który później grał w Realu Madryt - choć i ono nie budziło w niej żadnych emocji. Gdy dorosła, Ola zawsze pokpiwała z jej dziecięcej, niewytłumaczalnej fobii do białego koloru. To że Aga nie chciała oglądać meczów drużyn w białych koszulkach kwitowano wzruszeniem ramion. Gorzej, kiedy stoczyła z rodzicami wojnę siedmiodniową o białą sukienkę do Pierwszej Komunii Świętej. Ostatecznie uległa i założyła ją, a aberracja niedługo minęła. Nosiła czasami białe ciuchy, ale za Realem i Legią nie przepadała.

Za to zawsze przykuwała jej uwagę uroda piłkarzy (będąc fanką Barcelony była w stanie wybaczyć Cristiano nawet występy w Madrycie). Największy gwiazdor ligi "El Dorado" wyglądał na zdjęciu jak amant z dawnego romansu.

*W "Przysiędze" hymn pochwalny dotyczył nade wszystko Hele?o de Freitas, Brazylijczyka z Junior Barranquilla, niegdyś najważniejszego gracza Botafogo. "Nosił się jak Cygan, wyglądał jak Rudolf Valentino i miewał paskudne humory. Na boisku jednak rozkwitał" - tak opisywał Brazylijczyka Eduardo Galeano w "Blaskach i cieniach futbolu". Marquez twierdził, że Hele?o z intuicją i podejmowaniem niespodziewanych, ale genialnych decyzji mógłby być autorem najlepszych powieści detektywistycznych.*

*Hele?o był jednym z najbardziej uzdolnionych brazylijskich graczy w historii. Ale też jednym z tych, którzy całkowicie zmarnowali karierę. Dziennikarz Alberto Nogueira nazwał go "najbardziej dramatyczną osobowością" w dziejach futbolu. Przez lata występował w reprezentacji Brazylii, był wicemistrzem Ameryki Półd. w 1945 i 1946 r. Sława geniusza techniki trwa do dziś, w 2012 r. rekordy popularności bił film o jego życiu. Hele?o był jednak nie tylko księciem boiska, ale i królem nocy, w ekscesach na pewno nie przebił go George Best, nawet Garrincha nie upadł tak nisko. Hele?o był alkoholikiem i uzależnionym od eteru narkomanem, uwielbiał kobiety. Autodestrukcja pełna, bo inteligencja mieszała się z gigantycznym ego i manią wielkości. Z biegiem lat stawał się wybuchowy i agresywny, co przypisywano postępującej, nieleczonej chorobie wenerycznej (zmarł na kiłę w przytułku, mając 39 lat, w 1959 r.).*

*Jego kariera w Brazylii skończyła się, gdy w porywie szału przystawił trenerowi Flavio Coście pistolet do głowy.*

Dokończyła artykuł, złożyła kartki na pół, może weźmie je jeszcze ze sobą na uczelnię i wróci do najciekawszych fragmentów. Wyciągnęła komórkę, sprawdziła pocztę, zalogowała się na FB. Jakiś Mati Jesion przysłał jej zaproszenie. Dostawała ich sporo od kibiców przychodzących na mecze, dla których sama obecność na trybunach była zawarciem znajomości, albo po prostu od obcych facetów, którzy chcieli pooglądać pozostałe zdjęcia, bo spodobało się im jej profilowe. Zignorowała zaproszenie Jesiona, jak wszystkie dotychczasowe.

Po przejrzeniu aktualności na ścianie zorientowała się, że ma od niego wiadomość w folderze "Inne":

*Proszę Panią!*

*Mam do Pani niezwykle ważną sprawę! Sprawę życia i śmierci!! Proszę o pilny kontakt!*

*Jestem policjantem.*



*Z poważaniem*

*Mateusz Jesionek*

O co kaman?! Kliknęła na jego zdjęcie i doznała szoku. Ściągnięta jakby bólem twarz tego gościa, który gapił się na nich nad Wisłą. Potem znowu natknęli się na niego, albo kogoś podobnego, w tramwaju. I znowu natrętnie się w nich wpatrywał. Zwróciła nawet uwagę na niego Maćkowi, który obejrzał się i zrobił odpychający grymas.

- To jakiś freak, w Krakowie co krok można się na takich natknąć. Nie zwracaj uwagi - reakcja była o tyle dziwna, że mówił staranną polszczyzną, czasem tylko wrzucał jakieś gwarowe określenia, ale unikał angielskich zwrotów.

Mati Jesion pisał do niej znowu:

*Grozi Pani ogromne niebezpieczeństwo! Proszę uciekać z mieszkania Porzyńskiego!! To morderca!!! To on zabił te wszystkie dziewczyny!!!!*

Przysłał zdjęcia. Na jednym jakiś człowiek w ciemnogrnatowej przeciwdeszczowej kurtce z kapturem pochylał się nad leżącą nad brzegiem rzeki kobietą. Widać było jej rozrzucone, kręcone włosy. Na drugim postać była już wyprostowana, kaptur trochę się zsunął odsłaniając męską twarz. Podobną z tej perspektywy do twarzy Maćka. A ta kurtka! Przecież w kwietniu przyszedł na mecz w takiej! Wtedy padało.

Rzuciła się do szafy. Wisiała w niej identyczna kurtka! A spodnie? Bordowe z lampasami o ton jaśniejszymi. Przekopywała szafę, ale nie mogła ich znaleźć. Aż pod bielizną zaszeleściła reklamówka. Wyjęła ją, w środku były cztery apaszki, każda w innym stylu, jakby z innej właścicielki. Jedna grafitowa. Jedna trochę ubłocona.

Twarz ją piekła, serce biło jak szalone, do głowy przychodziły kolejne olśnienia. Przecież on wiedział, w którym miejscu ją napadli, choć wcale dokładnie o tym nie powiedziała! Przecież jeden z napastników miał sylwetkę dokładnie taką jak Maciek! Przecież to on ją przekonał, że to był "zwykły" napad rabunkowy!

Zaczęła w popłochu zbierać rzeczy do torby z frędzlami, z którą tu przyszła. Nagle zadzwonił leżący na łóżku telefon. Na wyświetlaczu identyfikacja - "Maciejko"! Co robić? Jeśli zignoruje, on może nabrać podejrzeń. Odchrząknęła.

- Tak, kochanie?

- Cześć Agula - sprawiał wrażenie dziwnie zmieszanego. - Dotarłem do redakcji, ale zorientowałem się, że nie zabrałem wszystkich potrzebnych dokumentów. Przyjechałem więc z powrotem, ale parkując załapałem, że klucze do drzwi zostawiłem w mieszkaniu. Jesteś tam jeszcze?

W panice nacisnęła czerwoną słuchawkę, złapała torbę, w przedpokoju wzięła buty do ręki i na bosaka wybiegła z mieszkania. On będzie na pewno jechał windą! Rzuciła się do schodów. Gdy z szóstego piętra zbiegła na trzecie, zorientowała się, że nie ma komórki, bo rzuciła ją na łóżko schylając się po torbę.